

Łowicz | Dla niektórych firm epidemia jest śmiertelnym zagrożeniem. Syntex już się zamknął

Jeśli firmy nie przetrwają, czeka nas bezrobocie

Wirus, którego się obawiamy, przywłókł już ze sobą nad Bzurę chorobę, która może się okazać groźniejszą od niego samego: zatamowanie obiegu pieniądza w dużej części gospodarki. Niektóre firmy z Łowicza z dnia na dzień straciły jakiegokolwiek zamówienia. Są zagrożone bankructwem, a setki ludzi mogą stracić pracę.

W halach produkcyjnych firmy Steven w Goleńsku pracuje część maszyn, ruch jest na stanowiskach pakowania. Ale to tylko namiastka normalnej pracy. Jak mówi Jolanta Skonieczna, specjalista d.s. finansów, gdy normalny dzienny poziom sprzedaży sięgał 70 tysięcy złotych, przy produkcji około 20 tysięcy par skarpet danego dnia, to od poniedziałku 16 marca w praktyce dopływ pieniądza za już zrealizowane dostawy ustał, a nowych zamówień nie ma. – Nie sprzedaliśmy od dwóch tygodni żadnej skarpetki – obrazuje to właściciel firmy Marek Bryła.

I to mimo tego, że Steven oferuje teraz swe produkty po cenie poniżej kosztów produkcji, by w ogóle zgromadzić pieniądze na wypłaty dla pracowników za marzec. Powinni je otrzymać na konta do 10 kwietnia, a potrzeba na nie, wraz z ZUS-em, około 450 tysięcy złotych. Na same tylko płace, bo aby pokryć na zero wszystkie koszty funkcjonowania firmy, wraz ze spłatą rat leasingowych za maszyny, potrzeba około miliona złotych obrotu miesięcznie.

Powodem zapaści są wprowadzone ograniczenia w poruszaniu się i w handlu. Zamknięte są decyzją rządu galerie handlowe, a drobny handel detaliczny też często z własnej inicjatywy zamyka sklepy, bo kupujących nie ma. Nie ma zaś – bo są ograniczenia w poruszaniu się i apele o pozostawanie w domach. To ma sens jako przeciwdziałanie rozprzestrzenianiu się epidemii – ale dla gospodarki jest jak zatkanie ust i nosa jednocześnie. – To nam wszystkim odcięło tlen – mówi Marek Bryła.

Szczególnie w branży modowej, do której zalicza się produkcja skarpet. Przełom zimy i wiosny był zawsze jednym z dwóch najlepszych w roku – teraz jest całkowicie stracony. – Nawet w internecie nikt nie kupuje, bo nikt nie jest pewny jutra, sprzedają się tylko artykuły pierwszej potrzeby – obserwuje Bryła.

On teoretycznie miałby pieniądze na płacenie ludziom przez dłuższy czas, bo ma u klientów, tytułem zaległych płatności za już dostarczony towar, 2,8 miliona złotych – ale skala kryzysu jest tak wielka, że wątpi, czy uda mu się odzyskać choć część tych kwot. Bo hurtownicy i detaliści trzymają je u siebie, by w pierwszym rzędzie zapłacić swoje rachunki i pensje swoim pracownikom. Zapłata za towar poczeka – taka jest brutalna prawda w czasie kryzysu.

– Pomoc, jaką oferuje rząd, w niczym nam nie pomaga – mówi Joanna Jabłońska, specjalista d.s. kadr i płac w Stevenie. Bo firma jest za duża, by być zwolnioną przez 3 miesiące z płacenia ZUS, zresztą nawet umorzenie ZUS nie dałoby wiele, gdy zamówień nie ma żadnych. A odroczenie składek ZUS jest tylko gwarancją większych problemów w przyszłości. Podobnie pokrycie przez państwo połowy pensji nie rozwiązuje problemu, bo z czego zapłacić drugą połowę, skoro sprzedaż jest zerowa? – A trzeba zostać przy tej załodze, to jest 125 osób, w tym 115 na etatach, w 90% na czas nieokreślony, zwolnienia byłyby kosztowne, ale też tak po prostu po ludzku źle byłoby ludzi zwalniać, niektórzy pracują tu po 25 lat.

Marek Bryła nie ukrywa, że myśli wciąż o tym, jak uchronić załogę przed zwolnieniami. Zdecydował się wysłać list do premiera Morawieckiego, wicepremiera Gowina i ministra rozwoju Jadwigi Emilewicz, w którym opisuje sytuację, w jakiej się znalazł tak on, jak i inne firmy z branży. Pisze, że realną pomocą dla przedsiębiorców byłoby pokrycie przez państwo strat, jakie firmy poniosły w minionym miesiącu, aby przedsiębiorstwa były w stanie zapłacić odprawy dla pracowników, gdyby trzeba było dawać im wypowiedzenia – by po powrocie do normalności zatrudnić ich z powrotem.

W poniedziałek i wtorek 30 i 31 marca przeprowadzał rozmowy z pracownikami. Poinformował ich, że wszyscy pracują dalej, nikomu nie dał wypowiedzenia, uznał, że w obecnej sytuacji byłoby to nie na miejscu, choć nie ukrywał, że sytuacja jest bardzo trudna. Jest wdzięczny pracownikom, że ofiarnie pracują – i przekonany, że w tej wyjątkowej sytuacji pomocy i zrozumienia potrzebują zarówno pracownik jak i pracodawca.

Przede wszystkim jednak Marek Bryła jest przekonany, że mimo tak poważnej sytuacji, musi przede wszystkim być kreatywnym, by dać ludziom jakąś pracę, na której efekty jest popyt. I dlatego rozpoczął produkcję maseczek ochronnych. Podkreśla, że to nie są maseczki atestowane, ze wszystkimi zabezpieczeniami antywirusowymi, niemniej są jakąś ochroną. I jako takie są potrzebne. Minister zdrowia Łukasz Szumowski w wywiadzie dla Dziennika Gazety Prawnej podkreślił, że takie zwykłe, materiałowe maseczki nie chronią wprawdzie przed zarażeniem się wirusem, ale chronią innych przed moim kaszlem.

Przygotowanie produkcji maseczek na maszynach służących do produkcji skarpet jest – co właściciel Stevena bardzo podkreśla – zasługą jego technologa, Marka Kłębika, który poświęcił na to cztery dni pracy, opracowując wzór, dobierając materiały, programując maszyny. Teraz na maseczki, produkowane w kilku kolorach, jest popyt, choć mniejszy niż zdolności produkcyjne fabryki. Ale Marek Bryła myśli już o produkcji drugiego typu maseczek, które będzie mógł oferować szpitalom.

– Jeżeli będziemy sprzedawać te maseczki, to miesiąc, dwa, trzy jakoś wytrzymamy, choć jest bardzo ciężko. W tym momencie zaczyna nam się to udawać, z tego się najbardziej cieszymy – mówi. – Ale to jest tylko taka praca, żeby przetrwać. Nie możemy być niczego pewni. Ludzie czują strach, niepewność, lęk przed zwolnieniem, utratą pensji. Ta sytuacja w naszej branży dotknie każdego. Zresztą: dotknie każdego budżetu, od domowego po budżet państwa.

Definitywny koniec Syntexu?

Decyzję, że nie przetrwa i musi kończyć działalność, podjął już w poniedziałek 30 marca Tomasz Krajewski, współwłaściciel Syntexu. Tego dnia pytaliśmy go o to, jaka jest sytuacja w firmie w chwili załamania na rynku, spodziewaliśmy się złych wiadomości, ale nie aż takich. – Fatalna – powiedział zdecydowanie – Właśnie zwolniłem wszystkich z pracy.

Rzeczywiście, jak nam potwierdził zastępca kierownika Powiatowego Urzędu Pracy Cezary Gawroński, Krajewski zgłosił w Powiatowym Urzędzie Pracy grupowe zwolnienie 87 osób ze 115-osobowej załogi. Niektóre tylko osoby są chronione na mocy różnych przepisów. Większość zwolnionych ma prawo do 3-miesięcznych odpraw i 3-miesięcznego okresu wypowiedzenia

– To jest wygaszenie produkcji, kończę z produkcją skarpet – powiedział nam Tomasz Krajewski. Nie oznacza to likwidacji spółki Syntex czy ogłoszenia jej bankructwa. Spółka ma bowiem spory majątek trwały, na terenie zakładu funkcjonuje aż 25 najemców, więc płynność firmie zapewnią dochody z wynajmu – o ile najemcy będą wypłacalni. Ale by zapewnić płynność produkcji skarpet i rajstop, firma musiałaby mieć sprzedaż na poziomie miliona złotych miesięcznie, a zamówienia gwałtownie zmalały i klienci przestali płacić. – Przepływ pieniądza w Polsce się zatrzymał – opisuje sytuację Krajewski. – Zamówień było bardzo

mało, grubo poniżej poziomu, który by gwarantował utrzymanie rentowności. Teraz z niczym nie zalegamy, ale ryzyko zadłużania się byłoby w tej sytuacji nieracjonalne.

Właściciel nie ukrywa przy tym, że kryzys dotknął jego spółkę w czasie dla niej i tak trudnym. Mówi, że na jesieni firma ledwie wiązała koniec z końcem, on sam w ciągu minionych dwóch lat, gdy najpierw choroba a potem śmierć wyeliminowały z doradzania firmie jego ojca, Marka Krajewskiego, włożył w Syntex ponad milion złotych pożyczek właścicielskich, wszczął działania naprawcze, wdrażał system komputerowy, który miał sterować całym procesem produkcyjnym, ale który nie zdążył ciągle dobrze zadziałać. Wskazuje na strukturalne przeszkody efektywnej działalności gospodarczej w Polsce: rosnącą biurokrację, wzrost cen energii elektrycznej, wzrost cen opłat za śmieci, a w branży tekstylnej ogromną konkurencję ze strony krajów, w których przedsiębiorcy nie obciąża ubezpieczenie społeczne.

Mimo to liczył, że na epidemii ucierpią Chiny, co może nawet pomóc polskim producentom – nie sądził, że epidemia tak bardzo uderzy w Europę. – Nikt z nas nie miał dotąd do czynienia z takimi sytuacjami – mówi. – To znamy z historii, że średniowiecza, gdy uderzyła dżuma, ale nie z doświadczenia. Mając kolegów biznesmenów mam najbardziej pesymistyczne zapatrywania na przyszłość.

Główna firma rodziny Krajewskich, produkująca przędzę, ma inną, mocniejszą pozycję na rynku i funkcjonuje. Czy Syntex kiedykolwiek wznowi produkcję? Z tego, co nam powiedział właściciel wynika jasno, że nie – choć zwolnienia można zawsze interpretować jako próbę przetrwania najgorszych czasów. Spółka istnieje, produkcji nie ma, ludzi nie będzie – to stan na dziś.

Żeby rząd poszedł po rozum do głowy

Dużo mniejsza od Syntexu, bo zatrudniająca 17 osób, także produkująca skarpetki firma Regina Socks z Łowicza nie zamierza się poddawać, choć od blisko 3 tygodni nie ma już żadnych zamówień. Jej właściciel Jarosław Górecki zdecydował się przestawić od ubiegłego tygodnia produkcję na szycie maseczek ochronnych. Wykorzystał w tym celu antybakteryjną przędzę, którą wykorzystuje do jednego z rodzajów skarpet. Przystawić automaty na produkcję maseczek nie było problemem, kłopoty nastęrcza przyszywanie do nich troczków – musiał błyskawicznie uzupełnić wyposażenie zakładu o kilka maszyn szwalniczych, gdy rozmawialiśmy z nim wczoraj, miał właśnie jechać sprowadzić kolejną.

Pierwszy zbyt już miał, bardzo chwali burmistrza Kalińskiego za to, że u kilku lokalnych wytwórców zamówił maseczki do rozdawania wśród mieszkańców, w tym 2 tysiące u niego. Uważa, że to dobry przykład dla rządzących. – Rząd powinien pójść po rozum do głowy i zlecić polskim producentom produkcję czegoś takiego, zrobić kryzysowe zakupy, a nie sprowadzać z Chin – mówi. – My nie chcemy od nikogo pieniędzy, tylko mieć w tej tragicznej sytuacji jakiś zbyt.

Bo nie ukrywa, że sytuacja w dziewiarstwie jest tragiczna. Dla rynku skarpetkowego najważniejsze są miesiące wiosenne, od kwietnia do końca czerwca, potem, w wakacje, nikt już skarpet nie kupuje. Jeśli epidemia potrwa długo, ten sezon będzie stracony, jeśliby skończyła się tak, że choć czerwiec dałoby się przepracować, może uda się uratować i przygotować kolekcję jesienną.

Pieniądze za szycie maseczek, jeśli uda się ich szyc i sprzedawać dużo, pozwoliłyby na przeżycie okresu epidemii. Firma, aby przetrwać, potrzebuje około 70 tysięcy złotych miesięcznie przychodu. Pieniądze, które są u hurtowników tam właśnie są i nie wiadomo, czy kiedykolwiek do firmy wrócą, bo nie wiadomo, czy hurtownicy przetrwają, zmuszeni do opłat za lokale, wypłat dla ludzi – a bez obrotu. Natomiast Regina musi regulować swoje

zobowiązania wobec hurtowni przędzy. – Tam taryfy ulgowej nie będzie – zna sytuację Jarosław Górecki.

Mając te wszystkie problemy na głowie, pociesza się tym, że znajduje zrozumienie u pracowników. Oni wiedzą, że obroty drastycznie spadły, a mimo to właściciel może powiedzieć z przekonaniem, że atmosfera w firmie jest dobra. Ostatniego dnia marca rozmawiał z załogą, przedstawił im strategię przetrwania na najbliższe tygodnie. Dało się rozmawiać spokojnie.

Górecki robi co może, resztę zawierza Panu Bogu.

Nawet mocny musi zacisnąć pasa

W przeciwieństwie do Syntexu, działająca w branży wyrobów z tworzyw sztucznych Lamela miała w ostatnich latach dobry czas. Jej prezes Arkadiusz Bałdyga mówi wprost, że wyniki za ostatnie 2-3 lata były każdego roku rekordowe. To pozwoliło mieć dobre stany magazynowe – co z kolei daje teraz, gdy nadszedł kryzys, możliwość manewru.

Bo kryzys nadszedł także i w tej branży, i także z dnia na dzień.

– Zamówienia spadły praktycznie do zera – mówi Bałdyga. IKEA – główny partner handlowy Lameli, zamknęła wszystkie swe markety, a wyroby własne, najczęściej ogrodowe, nieco jeszcze kuchennych, stanowiące drugą „nogę” firmy, też przestały się sprzedawać, gdy ruch w sklepach i marketach ogrodniczych zamarł. Niewielka sprzedaż jest prowadzona, ale zapotrzebowanie pokrywają wyroby wcześniej zmagazynowane – a produkcja od dwóch tygodni stoi. Nie jest żadną pomocą eksport, bo jego główne kierunki to kraje, które nie zdołały się tak zabezpieczyć przed pandemią jak Polska: Hiszpania, Francja, Portugalia, Niemcy.

W rezultacie część pracowników biurowych pracuje zdalnie, ale większość 350-osobowej załogi nie pracuje w ogóle. Niektórzy wykorzystują zaległe urlopy, pracujący w systemie czterobrygadowym odbierają wolne dni, niektórzy korzystają z propozycji wykorzystania urlopów bieżących, duża część załogi ma płacone postojowe.

– Zaczęliśmy od innej strony niż zwolnienia – mówi Arkadiusz Bałdyga – pracownika nie chcemy się pozbywać. Stąd właśnie postojowe, równoznaczne z cięciem płac. Prezes wie, że to nie jest popularna decyzja, dotyczy ona wszystkich, z kadrą zarządzającą włącznie. – Zarządziliśmy to, by dać firmie szansę na dobre przetrwanie trudnego czasu, by nie przeszła przez to zbyt mocno poobijana. Redukcja wynagrodzeń spowoduje, że zmaleją miesięczne wydatki, kupimy sobie trochę czasu.

Bez redukcji płac Lamela musiałaby znaleźć na same wypłaty wraz z ZUS-em między 2 a 2,5 miliona złotych miesięcznie. To może się okazać niemożliwe, gdy główni odbiorcy nie zamawiają nic, albo wręcz nie płacą za towar już dostarczony.

– Wiele zależy od tego, jak poradzą sobie sklepy, a mamy coraz więcej informacji od klientów, że nie będą w stanie wywiązać się w terminie z płatności. Płynność nie jest dana raz na zawsze – mówi prezes.

– Uważaliśmy się za firmę stabilną, różne wskaźniki mieliśmy na bardzo dobrych poziomach, uważaliśmy, że tylko katastrofa może nami wstrząsnąć, zmiany rynkowe nie. I katastrofa się trafiła – dodaje filozoficznie.

Czy w tej katastrofie liczy na pomoc rządową? Nie za bardzo. Prezes uważa, że rząd powinien pomoc traktować jak ulgę podatkową dla przedsiębiorców, którzy przecież przez lata zapłacili do budżetu grube miliony. W tarczy antykryzysowej widzi za dużo przewidzianych możliwości odraczania płatności – a to nic nie daje, bo oznacza tylko kumulację obciążeń w przyszłości.

Podkreśla również, że od skali pomocy ważniejszy jest czas, liczy się każdy dzień. – Jeśli nam pomogą, to będą mieli względnie bezpieczny budżet krajowy, jeżeli nie – to załame się budżet państwa – przewiduje.

– Wiele zależy od tego, jak poradzą sobie sklepy, a mamy coraz więcej informacji od klientów, że nie będą w stanie wywiązać się w terminie z płatności. Płynność nie jest dana raz na zawsze – mówi prezes.

– Uważaliśmy się za firmę stabilną, różne wskaźniki mieliśmy na bardzo dobrych poziomach, uważaliśmy, że tylko katastrofa może nami wstrząsnąć, zmiany rynkowe nie. I katastrofa się trafiła – dodaje filozoficznie.

Czy w tej katastrofie liczy na pomoc rządową? Nie za bardzo. Prezes uważa, że rząd powinien pomoc traktować jak ulgę podatkową dla przedsiębiorców, którzy przecież przez lata zapłacili do budżetu grube miliony. W tarczy antykryzysowej widzi za dużo przewidzianych możliwości odroczenia płatności – a to nic nie daje, bo oznacza tylko kumulację obciążeń w przyszłości.

Podkreśla również, że od skali pomocy ważniejszy jest czas, liczy się każdy dzień. – Jeśli nam pomogą, to będą mieli względnie bezpieczny budżet krajowy, jeżeli nie – to załame się budżet państwa – przewiduje.

Tak czy owak kieruje Lamelą w ten sposób, jak gdyby żadnej pomocy miało nie być. Jeśli takowa się pojawi, to firmie pomoże, ale za bardzo na nią nie liczy.

Mleko jednak towarem pierwszej potrzeby

W zakładach branży spożywczej nastroje są na szczęście inne. Żywność jest artykułem pierwszej potrzeby w sytuacji każdego kryzysu, wirusowego także. Stąd kilkudniowe szaleństwo zakupów w pierwszych dniach epidemii, stąd nadal trwający wzmożony popyt na niektóre artykuły.

Należy do nich mleko, szczególnie UHT, które można długo przechować. Dlatego w Okręgowej Spółdzielni Mleczarskiej w Łowicza jej prezes Iwona Grzybowska i wiceprezes Łukasz Siewierski zgodnie przyznają, że ten towar sprzedaje się teraz znakomicie, tak w kraju jak i zagranicą. W marcu spółdzielnia przerobiła o 10% więcej mleka niż w poprzednich miesiącach. Zamówień jest tak dużo, że są problemy z wywiezieniem towaru poza zakład, spowodowane głównie brakiem kierowców w firmach transportowych – bo wielu z różnych powodów nie pracuje: czy to z obawy o zdrowie, czy z racji opieki nad dziećmi czy z powodu kwarantanny.

W tym kontekście tak prezes Grzybowska jak i wiceprezes Siewierski podkreślają, że są bardzo wdzięczni wszystkim pracownikom, którzy mimo ryzyka przychodzą do pracy. Firma ze swej strony stara się zapewnić im zwiększone środki ostrożności: każdy wchodzący na teren zakładu ma mierzoną temperaturę, dezynfekuje ręce, nie są wpuszczane na teren żadne osoby z zewnątrz, chyba że za pisemną zgodą zarządu. Kierowcy samochodów spółdzielni są zaopatrzeni w maseczki i rękawiczki ochronne, od kierowców firm zewnętrznych wymaga się tego samego, ale jeśli nie mają – dostaną to na miejscu. Przygotowano wydzielone miejsce na zewnątrz do ich obsługi.

Odbiorcy produktów spółdzielni na razie za nie płacą, Łukasz Siewierski zaznacza jednak, że zarząd na bieżąco monitoruje sytuację, by nie doprowadzić do powstania zaległości.

Łowicka OSM mogłaby dziś zatrudnić nawet i 50 osób więcej do pracy, ale nie jest w stanie tego zrobić z tego powodu, że w praktyce nie funkcjonują placówki medycyny pracy (patrz tekst obok) – a w branży spożywczej jak w żadnej innej badania przed przyjęciem do pracy są konieczne. Dlatego pracownicy zwalniani z innych firm wcale nie będą mieli łatwo z

przyjęciem do pracy na Przemysłowej, bez badań choćby na nosicielstwo się nie obędzie, a sanepid ma teraz o wiele większe problemy na głowie.

– Zamówienia się zmniejszają – mówi prezes Grzybowska obserwując ostatnie dni. Nie jest to jednak katastrofa jak w innych branżach, raczej lekka korekta po zakupowym szaleństwie sprzed miesiąca. Tutaj mogą więc pracować niemal tak, jakby wirusowego kryzysu nie było. Szczęściarze.